

POL I I ROB

Pol Terlnin jest Holendrem z krwi i kości, a tak dokładnie to fryzycykiem manifestującym swój regionalizm przy każdej okazji,

choćby przez wywieszenie przez swoim domem flagi Fryzji, mimo że mieszka niedaleko Amsterdamu.

Jest strażnikiem łowieckim w regionie Lelystad, gdzie nadzoruje 17 tys. ha obwodów. Poznałem Go w lipcu 1991 roku, kiedy to wraz z Sei Hydinkiem i Wilhelmem Kuiperem byli pierwszymi dewizowcami, których podprowadzałem na rogacze w moim ówczesnym KŁ nr 10 „Szarak” w Opolu. Od tej daty ciągnie się historia naszej przyjaźni choć widzujemy się tylko raz lub dwa razy w roku.

Byłoby to może kolejne okazjonalne spotkanie z dewizowcami, gdyby nie jedno zdarzenie, które miało wówczas miejsce i chyba zdecydowało o przyjaźni, która trwa do dziś. Pol mimo, że przyjechał na rogacze, bardzo chciał strzelić w Polsce pierwszego dzika. Wieczorem i rano chodziliśmy za rogaczami, ale do dyspozycji mieliśmy przecież jeszcze noc. Zwłaszcza, że była pełnia a dziki rozsmakowały się w owsach. Między kwaterą Holendrów w Dębskiej Kuźni a polami Niwek było bardzo blisko i w któryś dzień po kolacji zaproponowałem Polowi nocne polowanie w owsach na dziki. Na polach wszędzie stało dorodne zboże. Praktycznie jedyną szansą było podejście pod wiatr, miedzą, przy którymś

z słabszych pól owsa. I rzeczywiście dość szybko zlokalizowaliśmy „na słuch” watachę plądrującą owies na długim i wąskim polu. Na równoległych przylegających polach stało żyto i jęczmień. Szczęśliwie między polami owsa i żyta ciągnęła się dość wysoka i szeroka miedza. Z daleka widzieliśmy grzbiety i gwizdy namiętnie żerujących dzików. Odwróciłem się do Pola.

- Mamy dobry wiatr i osłonę z żyta. Podejźmy na około czterdzieści metrów i dopiero będziesz strzelał – rozumiesz?

Pol skinął głową potwierdzając, że zgadza się.

Była północ, księżyc świecił jak głupi, owies bardzo dojrzały – żółty i suchy a dziki czarne i robiły dużo rejwachu swoim mlaskaniem i przebieżkami w poszukiwaniu najlepszych kiści ziarna. Mieliśmy więc idealne warunki by je podejść.

I rzeczywiście za kilka minut staliśmy czterdzieści kroków od żerujących ośmiu przelatków.

Jak to w owsie, były miejsca w których sylwetki widać było prawie w całości i takie gdzie widzieliśmy z dzika jedynie chyb i koniec tabakiery.

Pol nie odrywał lornetki od oczu. Ja wyczekiwałem na dogodny moment aby mógł oddać strzał. W końcu jeden z przelatków zaczął przesuwać się w kierunku niewielkiej halizny. Dałem Polowi znać aby przygotował się do strzału i równocześnie wskazałem mu dzika do którego powinien mierzyć. Skinął głową. Cofnąłem się krok do tyłu i podparłem lufę sztucera Pola na moim ramieniu.

Jedną ręką podniosłem lornetkę do oczu i czekałem na strzał. Za moment huknęło i w szalonej ucieczce dziki przez łan jęczmienia wskoczyły do pobliskiego lasu. Zdążyłem je policzyć. Poszła cała ósemka.

Pol cały roztrzęsiony próbował mi coś tłumaczyć, zdaje się , że mówił coś o strzelaniu tylko z pastorału, a nie z ramienia i że luneta mu zaparowała.

Ponad godzinne poszukiwania farby w owsie, jęczmieniu i wzdłuż ściany lasu nic nie dały. W końcu wyładowała mi się latarka i trzeba było kończyć. Wróciliśmy do zajazdu i zrobiliśmy sobie kawę, bo nie było już sensu kłaść się spać przed porannym wyjściem na kozły. Jeszcze raz wszystko przeanalizowaliśmy i wyszło nam, że to czyste pudło. Za pół godziny wstali Sei i Wilem a za następne pięć minut dojechał Janusz, z którym podprowadzaliśmy naszych dewizowców. Wypiliśmy po drugiej kawie, w czasie której Pol

opowiadał nocne wydarzenia po holendersku swoim kolegom, a ja po polsku. Januszowi. Za moment ruszyliśmy do łowiska na poranny podchód.

O ile dobrze pamiętam poranne polowanie było udane, bo nasi goście strzelili dwa rogacze,. Po powrocie do miejsca zakwaterowania wspólnie zjedliśmy śniadanie, ustaliliśmy godzinę wieczornego wyjścia, zabraliśmy do wypreparowania strzelone kozły i pożegnaliśmy się.

- Janusz, czy będziemy w domu o ósmej czy o dziewiątej to nie ma żadnego znaczenia. Może podjechalibyśmy na Niwki i jeszcze raz, przy dziennym świetle, sprawdzili ten strzał do dzika – zaproponowałem po wyjściu z zajazdu.

- Nie ma sprawy – odpowiedział krótko.

Już na miejscu, idąc miedzą, tłumaczyłem Januszowi cały przebieg podchodu, strzał i poszukiwanie. Stałem na miedzy w miejscu, z którego strzelał Pol, a Janusz wszedł w owies.

- Jeszcze kawałek i trochę w lewo – nakierowywałem Janusza na miejscu, gdzie stał strzelany dzik.

- No, gdzieś tutaj stał – stwierdziłem.

Janusz jeszcze dobrze nie zakręcił się wokół tego miejsca, gdy od razu krzyknął.

Jest farba!

Podbiegłem. Rzeczywiście, to była farba i nawet sporo, ale ku mojemu zaskoczeniu nie szła w kierunku lasu a właśnie w drugą stronę, w stronę miedzy, na której staliśmy

i przylegającego łąnu żyta. Za moment weszliśmy na leżącego w życie przelatka. Od miejsca strzału nie było dalej jak czterdzieści kroków.

- Zobacz, co robi sugestia. Byłem pewien, że było ich osiem a musiało być ich jednak więcej – stwierdziłem.

Za pięć minut byliśmy powrotem w zajezdzie. Pol, Sei i Wilem siedzieli jeszcze przy stoliku popijając piwo.

- Co się stało?– zapytał ze zdziwieniem Pol.

- Jest Twój dzik, zostawiliśmy go na miejscu, ubieraj się i jedziemy – powiedziałem.

Pol był zaskoczony ale szczęście aż promieniowało od niego.

- Poczekajcie, wezmę tylko kamerę – poprosił.

Biegiem pobiegł do pokoju. Na odchodnym tylko powiedział coś swoim kolegom i pojechaliśmy z powrotem na Niwki.

Pol szedł za nami miedzą, filmował i cały czas komentował coś po holendersku, zrobił dokładne zbliżenia kropel farby na owsie i sfilmował całą drogę ucieczki dzika aż do miejsca gdzie leżał.

Dopiero, gdy otrzymywał od nas złom, oddał kamerę abyśmy mogli nakręcić Jego. Nie spodziewał się jednak, że w ramach chrztu za pierwszego strzelonego dzika dostanie w twarz wątrobą. To także zostało uwiecznione na filmie.

Sei i Wilem czekali na nas w zajeździe i oczywiście natychmiast wyszli podziwiać dzika. Wypytywali tylko Pola dlaczego jest taki pokrwawiony.

Jestem pewien, że to był ten dzień i to zdarzenie, które zbliżyły nas bardzo do siebie i przerodziły w prawdziwą myśliwską przyjaźń.

Ale przecież nie o tym chciałem napisać !

Kilka lat później, dokładnie w sierpniu 1998 roku Pol przyjechał na polowanie na rogacze w czasie rui do mojego koła. Przyjechał ze swoim kolegą Robem, osobą znaną i szanowaną w swoim regionie w Holandii ze względu na wysokie piastowane stanowisko. Polowali w naszym obwodzie koło Miłostawia i jak to się mówi, bez problemu strzelali swoje wykupione kozły.

W ostatni wieczór przed wyjazdem, jak zwykle, Krystyna – żona ówczesnego naszego nieodżałowanej pamięci Łowczego Olka, przygotowała uroczystą kolację. Na kolację tą, ze względu na naszą wieloletnią już znajomość, zaproszony zostałem także ja. Przyjechałem trochę wcześniej. Ponieważ do posiłku mieliśmy trochę czasu usiedliśmy w altance koło domu i prowadziliśmy ożywione dyskusje na tematy łowieckie. A ponieważ nasi holenderscy goście osiągnęli sukcesy stół był odpowiednio zastawiony i co jakiś czas wznoszone były toasty.

Był taki moment, że wraz z synem Olka – Karolem, wówczas jeszcze tylko entuzjastą myślistwa, a dziś już wicełowczym naszego koła, udaliśmy się wspólnie z znaną potrzebą za stodołę. Gdy przechodziliśmy obok otwartego garażu zauważyłem, że na jednej ze ścian wisi medalion pięknego rogacza.

- Karol, dlaczego ten rogacz wisi w garażu. Jest piękny – zagadnąłem.

- Tylko z daleka. Strasznie obzarły go mole i jakbyśmy go ruszyli to rozleci się – odpowiedział.

Weszliśmy do garażu aby przyjrzeć się z bliska. Piękny uperlony szóstak wyprawiony był idealnie, prezentował się jak żywy. Zrobiony był na bardzo długiej szyi i chyba wówczas wpadliśmy na szalony pomysł, który wydawał się nie do zrealizowania ale jednak udał się do końca.

Wróciliśmy do stołu i za moment pod byle pretekstem odciągnąłem Olka na bok i powiedziałem Mu co wymyśliliśmy z Karolem. Pomysł zaakceptował.

Wróciliśmy wszyscy do stołu.

Po kilku minutach i kolejnym toaście Olek uznał , że wszyscy są w bardzo dobrej formie a kolacja zapowiada się obfita i długa i zarządził wzmocnienie zapasów alkoholu i napojów.

- Karol, siadaj z Bogdanem do auta i jedźcie jeszcze coś dokupić zanim zamkną sklep – prawie nam rozkazał.

Na to tylko czekaliśmy. Tak jak mogliśmy najdyskretniej włożyliśmy do bagażnika medalion, łopatę, młotek, grubą drewnianą listwę i trochę gwoździ. Wsiedliśmy do samochodu i pojechaliśmy w kierunku najbliższej wsi gdzie był sklep. Powoli szarzało i dodatkowo nad polami, po popołudniowej ulewie zaczęły podnosić się mgły. Wszystko nam sprzyjało i teraz szybko przystąpiliśmy do działania. Miejsce mieliśmy wybrane.

Wnęka pól otoczona dookoła lasem z dobrym dojazdem. Szybko udało się nam przymocować medalion do listwy. Karol z medalionem i łopatą poszedł w stronę porośniętej trawą miedzy, a ja zostałem z lornetką na ścianie lasu.

- Trochę w prawo, trochę głębiej, przechyl do tyłu – instruowałem Karola jak umocować medalion na miedzy wśród traw.

Za chwilę efekt był rewelacyjny. Karol wrócił i też popatrzył przez lornetkę.

- Super, nic nie widać, tylko szyję i łeb. I ta mgła. Idealnie – potwierdził moją ocenę.

Teraz szybko po drodze kupiliśmy tą dodatkową butelkę i dwa kartony soków i po dwudziestu minutach byliśmy na miejscu. Olek przygotowywał właśnie następnego drinka.

Zaczęliśmy się z Karolem przekrzykiwać, że po drodze widzieliśmy jak samochód potracił kozła i na pewno złamał mu cewkę, bo rogacz trochę odbiegł od szosy i położył się na miedzy.

Rob, bierz sztucer i jedziemy – zachęciłem. Pol rozumiał co mówiliśmy, bo mówi dobrze po polsku, natomiast Rob nie i dlatego Pol zaczął mu wszystko tłumaczyć.

- Nie, nigdzie nie jadę. Strzeliłem swoje pięć kozłów i wystarczy mi. Poza tym wypilem już parę drinków – dość stanowczo odmówił Rob.

Zaczęliśmy nalegać z Karolem.

- Ten kozioł i tak się zmarnuje. Poza tym nie możemy pozwolić aby się tak męczył. Jak uderzyło go auto to na pewno ma jakieś inne obrażenia i do rana zdechnie, albo zagryzą go jakieś psy, bo to przecież blisko wsi.

Pol cały czas tłumaczył Robowi co mówimy.

W końcu włączył się Olek.

- Rob, ten kozioł to jest gratis od naszego koła i nie musisz za niego płacić. Poza tym, ze względów humanitarnych, trzeba do dostrzelić – jedziemy.

Pol znowu przetłumaczył Robowi decyzję naszego łowczego.

- OK. – Rob złamał się.

Wsiedliśmy do samochodu w piątkę i pojechaliśmy.

Zatrzymałem się na szosie kilkanaście metrów przed ścianą lasu.

- Tylko ostrożnie i nie trzaskać drzwiami – zarządziłem.

W piątkę doszliśmy do narożnika lasu.

Gdy popatrzyłem przez lornetkę aż sam byłem zaskoczony jak idealnie rogacz leży na miedzy i patrzy w stronę lasu. Była już szarówka i mgielka – idealnie.

- Wy podchodźcie, a ja z Karolem i Polem zostaniemy tutaj – zarządził Olek.

Krok po kroku Rob, a za nim ja zaczęliśmy ścianą lasu skradać się w stronę kozła.

Po przejściu około dwudziestu metrów uznałem, że już wystarczy i dałem Robowi znać, że ma strzelać. Było około stu metrów.

Ku mojemu zaskoczeniu Rob padł na ziemię i żołnierskim czołganiem dotarł do fragmentu zniszczonego już dawno ogrodzenia z żerdzi aby mieć dobra podpórkę. Oczywiście ja także

czołgałem się tuż za nim stale obserwując przez lornetkę kozła.

W końcu Rob przyjął pozycję do strzału i zaczął mierzyć. Trwało to już dla mnie zbyt długo i bałem się że Rob odkryje podstęp.

- Strzelaj – syknąłem.

Rob gestem dał znać, że czeka aż rogacz wstanie.

- Strzelaj, on nie wstanie, bo ma złamaną cewkę –szepnąłem.

Rob zaczął mierzyć i za moment gruchnął strzał.

Obserwowałem przez lornetkę medalion ale nic się z nim po strzale nie działo.

Rob odwrócił się do mnie z pytającym wzrokiem.

- Pudło. Strzelaj bo zaraz ucieknie!

Rob złożył się i teraz już szybko strzelił drugi raz. Medalion przewrócił się.

- Kapitanie, gratuluję – wstając wyciągnąłem dłoń do Roba.

Teraz dopiero zauważyliśmy, że pozostała trójka była tuż za nami, a Pol cały czas miał

włączoną kamerę. Wszyscy ruszyliśmy w kierunku miedzy.

Rob zatrzymywał się co kilkanaście metrów i patrzył przez lornetkę w stronę miedzy.

Na dobre zatrzymał się może piętnaście metrów przed miedzą. Obrócił się i gdy zobaczył nasze roześmiane gęby najpierw wściekły rąbnął o ziemię kapeluszem a potem lornetką. Broń zdążyłem mu odebrać. Zaczął chodzić w kółko wrzeszcząc po holendersku jakieś straszne obelgi. W końcu dał się jednak doprowadzić do medalionu, który pięknie prezentował się na miedzy. Obie kule ulokowane były na karku dwa centymetry od siebie.

Wszyscy pogratulowaliśmy Robowi doskonałego oka.

Złomu jednak ode mnie przyjąć nie chciał. W czasie powrotu rechotaliśmy wszyscy jak idioci z wyjątkiem Roba, który próbował też uśmiechać się ale jakoś w ogóle Mu to nie wychodziło.

Kolacja jak zwykle u Krystyny był wyśmienita, wszystkim dopisywały humory z wyjątkiem Roba i dopiero gdy Karol ułożył w salonie gałązki świerczyny, a na nich pokot z medalionu rogacza Rob rozchmurzył się. Potem nawet tańczył z medalionem w rytm melodii, które na akordeonie grał Pol.

Z tego co wiem film nakręcony przez Pola przez kilka miesięcy był hitem wśród holenderskich myśliwych, ale od tego czasu przyjaźń Pola i Roba nieco ochłodziła się.

